Nr. 24. We Lwowie dnia 14. czerwca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NOWY PRZEKŁAD „BOSKIEJ KOMEDJI“.*)

Byłoby rzeczą zbyteczną chyba objaśniać czytelnikom, co to jest »Boska Komedja« Danta, najświetniejszy utwór poetycki wieków średnich, streszczający w sobie najlepiej i napiękniej ich ducha, ich filozofję.

U nas wspomina się o nim często, choćby w wypadku zestawienia i przeciwstawienia go »Nieboskiej komedji«, ale mało podobno znalazłoby się takich, coby go przeczytali od początku do końca. Jakiś głośniejszy epizod, np. o Ugolinie w przekładzie Mickiewicza, albo o Francesce z Rimini, jakieś zdanie oderwane, jak ów napis nad piekłem: *Lasciate ogni speranza*, to bodaj wszystko, co przeciętny u nas »inteligent« wie o arcydziele włoskiem i ogólno europejskiem. Przyczyną tego jest bezwątpienia głównie mała chęć do czytania trudniejszych nieco do zrozumienia poematów, ale obok tego musi tu być wzięty w rachubę i brak dobrego, dającego się czytać z przyjemnością, tłómaczenia.

Zabierało się u nas bardzo wielu do przekładu »Boskiej Komedji«, poczynając od Józefa Sękowskiego w r. 1818, ale całości tłómaczenia dokonało dwóch tylko ludzi: Julian Korsak i Antoni Stanisławski.

Pracy obu tłómaczów oddać można jednak całkiem zasłużoną pochwałę, że dokonana została sumiennie, z wielką czcią dla oryginału, z wielkim nakładem trudów, by dobrze zrozumieć i wiernie oddać myśli i obrazy, w pierwotworze zawarte. To też komu chodzi jeno o treść utworu poetyckiego, może z tych przekładów wyrobić sobie o niej dokładne pojęcie.

Nie podzielam ja zdania tych, co w poezji widzą przedewszystkiem formę, a na treść prawie uwagi nie zwracają; owszem, mojem zdaniem, forma, choćby najpiękniejsza, okrywająca treść błahą, będzie zawsze cackiem tylko, artystycznem — to prawda — ale cackiem. W każdym razie uznać potrzeba fakt, że forma w poezji stanowi przynajmniej połowę jej wartości.

Otóż pod względem formy oba wspomniane przekłady nie zadowalają wymagań estetycznych. Tłómaczenie Korsaka (wydane po jego śmierci, w roku 1860), dokonane wierszami rymującemi się parzyście, jest zabijające swoją monotonją, a pod względem lotności fantazji bardzo wiele pozostawia do życzenia. Przekład Stanisławskiego (r. 1870 i 1894) zupełnie rymów nie ma, a nie będąc rytmicznym naprawdę, równa się niemal tłómaczeniu prozą, pozbawiony jest wdzięku i harmonji; pod względem zaś dykcji słabszy jeszcze bywa od przekładu Korsaka.

Oryginał pisany jest trudną zwrotką trzywierszową, która się zwie tercyną, a która polega na tem, że wiersz pierwszy rymuje się z trzecim, a wiersz drugi (tj. środkowy) ma dopiero odpowiednie rymy w pierwszym i trzecim wierszu zwrotki następnej, — i tak wciąż dalej aż do końca pieśni, gdzie dodaje się luźny wiersz jeden do zrymowania środkowego wiersza zwrotki ostatniej.

Tę formę, która wymaga mistrzowskiego władania wersyfikacją, zachowali w przekładach swoich Adam Asnyk i Felicjan Faleński; lecz oni małą tylko cząstkę »Boskiej Komedji« przełożyli.

Obecnie mam przed sobą całkowity przekład »Piekła«, z którego majowy zeszyt *Ateneum* podał trzy pieśni. Tłómaczem jest Edward Porębowicz, który przekładami »Dramatów« Calderon'a, »Don Juana« Byron'a, »Poezji« Leopardi'ego, »Antologji prowansalskiej«, złożył dowód, że największe trudności języka i wiersza umie pokonywać z wdziękiem prawdziwego artysty.

Teraz możemy już mieć niepłonną nadzieję, że utwór Danta zostanie w całości przełożony tak, iż żadnemu z europejskich narodów nie będziemy potrzebowali zazdrościć posiadania tłómaczenia, stanowiącego zaszczyt literatury.

*) Powtarzamy za warsz. *Gazetą Polską*.

Ażeby tego dowieść na przykładzie, trzebaby wybrać z »Piekła« najrozmaitsze ustępy, przedstawiające różne rodzaje natchnień, obrazów, uczuć — od najprostszych do najwznioślejszych — i, zestawiwszy oryginał z tłómaczeniem. znaleźć stopień wierności i piękności. Nie mogąc atoli tutaj zabierać zbyt dużo miejsca, poprzestanę na króciutkim wyjątku z pieśni XXIV, by przynajmniej wdzięk naturalności obrazowania i swobodę wersyfikacji dać poznać:

W owej-to porze młodzieńczego roku,
Gdy Słońce włosy na Wodniku stroi *),
A noc, by dniowi zrównać, wzdłuża kroku;
Gdy szron po polach śnieżnej siostry swojej
Obraz barwami białemi wymości,
Który się jednak długo nie ostoi;
Kmiotek, któremu już głód w chacie gości,
Wstaje i wyjrzeć idzie, jak na dworze,
A tam-ci niwa calutka w białości;
Tedy po bokach bije się nieboże,
Do izby wraca i z żalu się słania;
Lecz się zaśmieje i otuchą wzmoże,
Widząc zmieniony świat do niepoznania
Za małą chwilę; kostur bierze krzywy
I na pastwisko chudobę wygania: —
Tak się zaląkłem, kiedym frasobliwej
Na czole Mistrza mego **) dostrzegł chmury...

Zdaje mi się, że takiego przekładu nie zlękną się nawet ci, którzy o ciemnościach »Boskiej Komedji« nasłuchali się dużo i wcale do żadnego tłómaczenia ani do oryginału nie zaglądali.

Mamy wprawdzie dopiero »Piekło«, ale sądząc z dotychczasowej energji p. Porębowicza, nie wątpimy, że na »Czyściec« i »Raj« zbyt długo czekać nie będziemy. Ten nowy przekład zjawia się w porę, gdyż, jak słyszymy, dawniejsze są już wyczerpane. Życzymy serdecznie tłómaczowi wytrwania i natchnień szczęśliwych.

Piotr Chmielowski.

NIEDŹWIEDŹ.

(Z cyklu poezji prozą: „Łzy i uśmiechy).

Dość to trudno z niedźwiedzia wydobyć uśmiech lub łzę, może nawet łatwiej uśmiech, bo niedźwiedź, jeśli nie jest groźnym, bywa bardzo komicznym; ale niedźwiedź rozrzewniający, o, to już zbieg okoliczności mniej spodziewany; a jednak, widziałam raz niedźwiedzia rozrzewniającego, tragicznego i szczęśliwego! Tak to było. Popołudniu hałas się uczynił koło bramy zamkowej, na gościńcu tłoczyła się jakaś czereda, krzyki, groźby; łajania, jakieś pomruki i piski zwierząt, bęben, trąbka, piszczałka, słowem, w spokojnem zazwyczaj miejscu niezwykły rozruch, awantura prawie, co dla chciwej wrażeń wiejskiej gawiedzi jest bardzo doniosłym wypadkiem. Bramę wprawdzie zatrzaśnięto, ale poselstwo dość oryginalne zdążało przez ogród do zamku. Gromadka składała się ze stróża i furmana, towarzyszących badawczo odzianemu pstro cyganowi, z dwóch psów podwórzowych, które zajadle szczekały, z kozy która się cygana puścić nie chciała, nadstawiając ujadającym przeciwnikom zgrabne rożki swoje, z białej myszki siedzącej w cygańskiej kieszeni i z czarnego kruka, który jak sztandar całej tej ambasady ulatywał tuż nad nią lub przysiadał na czyjemś ramieniu. Wszystko to dotarło szczęśliwie do kamiennych schodów, ale tutaj, stanął oporem stary Jędrzej i nie chciał iść »meldować do samej Pani — takich gości!«... Przekonano go jednak imieniem wielkiej figury, która za bramą została, i oto wchodzi do salonu Jędrzej, z kwaśniejszą niż zazwyczaj miną, podkopującą odrazu sprawę, jaką miał popierać. Siostra moja przestała nucić kroacką pieśń ludową Koszata, którą bardzo lubię, ja podniosłam głowę z nad kajetu, gdzie pod wpływem muzyki plątałam razem jakieś rytmy i myśli; dzieci budowały dalej spokojnie, wzdłuż pokoju swe wieczne miasto klockowe, ustawiając między domkami naczynia gospodarskie: od domków większe koneweczki, talerzyki i tuż obok swojskie krówki, baranki, poprzeplatane wilkami, tygrysami, co wszystko razem tworzyło ten naiwny dziecinny chaos, — na tle którego dziwne okrzyki dzieci stawały się zrozumiałymi:

— Nie pchaj tak na mnie tej zyrafy!

— Alez bo ten t o ń nie chce stać t o ł o macielnicki!

— Psynieś trombę słonia, tam leży pod stołem!

— Aj... konewecka dom psewróciła i t o m i n odpadł!

— A cemuz ty osiołkowi t l o m b ę przyprawias?

— A bo... chcę widzieć, cy mu l a n i e będzie z tem...

— P a p u z k a juz nie piscy! i sksydło psekręcone... ej...

— Ale pastuszek lany! idzie... idzie przez moją ulicę... takie ma tęgie boso! i naraz! oh! na rogu — wilk! nie bój się! wilka na wóz, i wio! het — ta! — wio!

I tak bez końca; a między tem unoszą się strofki bajek Jachowicza, jakieś czyściutkie frazy krakowiaków, jakaś nuta, wzięta równocześnie z pieśnią przy fortepianie, słodka i prosta, jak usta dziecinne.

---

*) To jest w miesiącu lutym, gdy słońce wstępuje w znak Wodnika.

**) To jest Wergiljusza, który był przewodnikiem Danta po piekle.

— Proszę wmożnej Pani...
— Co tam, Jędrzeju?
— Hm... tam przyszedł... przyprowadzili go... chciałby aż tu! at!
— Kto? co?
— Niedźwiedź stoi za bramom... a cygan napiera się, żeby go tu przyprowadzić!
Dzieci powstały z ziemi, klocki z rąk im wypadły:
— Tu — przyprowadzić? — pytały — niedźwiedź... cygan?
Te dwie potencje, to za wiele było dla nich na raz.
— Cygan carny?... niedźwiedź zywy... strasny?
Wybuchnęłyśmy śmiechem obie; jak taki gość się zapowiada, to go przyjąć trzeba!
— Nie wpuszczajcie całej tej gromady do ogrodu, Jędrzeju, niech tylko cygan z niedźwiedziem przyjdzie przed ganek. Dzieci zobaczą niedźwiedzia jeszcze żywego nie widziały, a trzeba znać zwierzęta, jakie są na świecie, nietylko z obrazków, albo jako zabawki, — zwróciła się siostra moja ku dzieciom, już upewnionym i ciekawym.
Jędrzej odszedł, mrucząc zgryźliwie; jako niepoprawny pesymista wyobrażał już sobie odwrotną stronę tej gościnności, wyduszenie służby przez niedźwiedzia, okradzenie kredensu przez cygana i setne następstwa tej przypadłości, które spaść miały na jego głowę i tak już obciążoną kilku tuzinami talerzy i noży, z dodatkiem poczciwej żony i paru dobrych dzieci, które jednak uważał za dopuszczenie boże. W gruncie jednak i on był ciekawy przedstawienia, tylko że trochę tchórz, trochę tetryk, brzemię odpowiedzialności za niespodziane widowisko chętnie, ruszając ramionami, zrzucał ze swego sumienia. Pomimo tego spieszył się z rozkazem ku bramie, a my tymczasem, zabrawszy dzieci, wyszłyśmy na ganek. Za sztachetami był żwawy targ i kłótnia; cygan wybrakowywał swą trupę, Jędrzej potwierdzał lub odrzucał wybór impresarja, nie szczędząc dobitnych określeń dla obieżyświatów, obszarpańców i powsinogów, aż wreszcie czarny przedsiębiorca wiódł uroczyście swego bohatera na żelaznym łańcuchu, którego ostatnie ogniwo przeprowadzone było przez nos — zwierzęcia. Dzieci tupały nóżkami, witając trupę i jej członków kudłatych, skrzydlatych, rogatych.
— T o z a idzie!
— K l u k leci!
Gdy jednak cała gromada stanęła przed gankiem, gdy niedźwiedź zdjął łapą czerwony swój kapelusz z głowy, a podniósłszy łeb ku nam, dygnął i mruknął, Marysia przytuliła się ciaśniej do matki, szepcząc niedowierzająco:
— Niedźwiedź? a cy on dalejko... od dzieci?...
— Nie bój się, on na dole, my na górze, a cygan go trzyma.
Wojtuś, mężczyzna, śmielszy choć młodszy, zaczerwieniony zrazu pod wrażeniem aż pod jasne włoski nad czołem, opamiętał się szybko i zauważył ze zdziwieniem:
— Żwiezie bez o d o n a! — i wybuchnął śmiechem; dla niego o d o n był cechą zwierzęcia, nie uznawał ich inaczej, nie bał się już.
Zaczęło się przedstawienie.
Niedwiedź posłuszny cygańskiej komendzie, kręcił się w kółko, tupał w takt nogami, rozkładał łapy, kłaniał się, potem właził na beczułkę

---

10)

Dr. FAUST.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Na widok jej w matce budziła się furja żalu i przerażenia! Drżącemi rękami zapinała paltocik, zawiązywała chusteczkę... a jednocześnie z pod czarnych rzęsów rzucała przeszywające spojrzenia na doktora, który stał we drzwiach gabinetu roztargniony, jakby zmieszany, mrugał oczami, gryzł wargi, cofał się w końcu, unikając złych oczu rozjątrzonej kobiety...
Dziewczyna zawiodła jego oczekiwania! Na razie był pewny, że znalazł dawno poszukiwany okaz! Zasypiała z łatwością, a we śnie zdradzała objawy jasnowidzenia... Zanotował parę faktów zdumiewających; niewątpliwie było to medjum niezwykłe! Zawczasu już uplanował cały szereg prób i doświadczeń; w myślach układał sprawozdania.
Wtem siła znikła. Od tygodnia ani jednego objawu. Dziewczyna zasypia, wpada w odrętwienie; budzi się z trudnością, nieprzytomna osłabiona...
Czy on ją przeforsował przez zbytnią gorliwość? Czy nie zrozumiał jej usposobienia?... Teraz po każdym seansie był wściekły! Walczyła w nim żądza wiedzy, rozbudzona ciekawość, gwałtowna ambicja — z niemocą, z bezsilnością, ze zwątpieniem!
Tak, miewał chwile rozpaczliwego zwątpienia.
Wówczas rzucał się po gabinecie, jak tygrys; w gardle go dławiło, zaciskał rozpalone pięście, a w mózgu rozgorączkowanym pojawiał się raptownie frazes:
— Dlaczego, u licha, ja się nie powieszę?
Spluwał, podrzucał olbrzymiemi barkami i starał się drwić z głupiego zwątpienia, jako z pozostałości dawniejszego filisterstwa, skostniałych formułek urzędowej nauki!
Czuł jednak, że tym razem wymknęło mu się z ręki *coś*, co mógł pochwycić, a nie umiał, nie potrafił; że z własnej winy zmarnował znakomity materjał!

i stał na niej wyprostowany; potem złaził, brał beczułkę na plecy, stawiał gdzieindziej i znów sadowił się na niej stękając; udając kapelmistrza wywijał batutą, i dalej znów beczkę zataczał, wskakiwał na nią z wysiłkiem, gimnastykował się z drążkiem lub z ciężarkami, aż w końcu, męczony, przysiadł i sapał.

— Nie męczcie go — mówiła moja siostra do cygana — niech odpocznie. — Ale cygan rad był, że dzieci się śmiały, że służba, która się zbiegła, nadziwować się nie mogła, więc napierał na biedne zwierzę, żeby się popisywało. Kudłacz posłuszny, brał broń do oka i strzelał w powietrze, nalewał wodę z dzbanka do szklanki i częstował widzów, gonił cyganiątko i groził mu łapą, brał się bokami za futro i tańczył walca przy bębenku, potem brał blaszaną koneweczkę i polewał brzegi trawnika. Wszystko to było bardzo zabawne i bezdennie smutne zarazem. Zwierzę było tak zmęczone, tak ociężałe, tak leniwo smętne, że jakby za pokutę odbywało te rzeczy komiczne dla nas — przez jego niezdarne kształty, trudne dla niego przez nędzę zbiedzonych członków. Chudy był; futro wisiało na nim, wyskóbane, gdzieniegdzie zbite w czerwony kłaczek, ukrywający ranę w podróżach otrzymaną. Oczy zmizerowane patrzyły z pod kępek włosów boleśnie, z obłąkaniem strachu i znużenia; mrugał uważnie na każdy odgłos trąbki lub bębenka; brał z wysileniem instynktu na swój zwierzęcy rozum czynności ludzkie, a czynił to wszystko z naprężoną czujnością steroryzowanej istoty, która już woli cierpieć, niż konać. Czasem poruszał nozdrzami, węsząc zapachy, dolatujące z kuchni i mruczał niecierpliwie. Gdy w podskokach podnosił ciężkie swoje łapy, coś go musiało boleć w łopatce, bo piszczał i chwiał się, a gdy cygan brutalnie za łańcuszek pociągał, niedźwiedź poprostu jęczał, bo nos miał cały rozdarty i rozkrwawiony od tego ogniwa, za które go szarpano, krew poprzysychała na pysku to tu, to tam, ranki się jątrzyły i paliły gorączkowo. Musiało go i w głowie od tego drażnienia boleć, bo zwieszał ją czasem omdlałą i chwiał się jak nieprzytomny.

— Dawno już macie tego niedźwiedzia?

— Oj, już z pięć lat! próżniak, uczyć się nie chce, ma utrzymanie, wikt, zabawę, i nie chce słuchać, bestja!

— Utrzymanie — na łańcuchu! zabawa w wytężeniu! A cóż on jada?

— O, państwo mu dają wszędzie i dostaje od nas rano, w południe i wieczór.

(Dok. nast.). *Szczęsna.*

Prawne stanowisko kobiety.

Znany nietylko w ojczyźnie swej, ale i po za granicami Włoch, autor „Błędów w ustawodawstwie karnem“, adwokat wenecki, Dominico Giuriati, ogłosił w ostatnich tygodniach ubiegłego roku ponowne wydanie dzieła, zajmującego się kwestją kobiecą, w szczególności zaś dzisiejszem ustawodawstwem co do zawierania małżeństw. Oddając się przeszło lat czterdzieści zawodowi prawniczemu, poznał się

Jak i kiedy to nastąpiło — nie umiał sobie powiedzieć. Przez trzy pierwsze seanse objawy wzmagały się znakomicie, na czwartym — raptownie wszystko znikło! Czy on zadużo swej siły zużył, czy zbyt słaby organizm wyczerpał się odrazu... Czy to się już skończyło... czy może tylko przerwa chwilowa?

Gubił się w domysłach, w przypuszczeniach. Każdy seans rozpoczynał z nadzieją, kończył rozczarowany, wściekły i przygnębiony zarazem!...

Chciał rzucić. Kilka razy miał już oznajmić matce, żeby nie przychodziła — nie mógł. W oczach kobiety była jakaś groźna potęga, która go onieśmielała... Nie przyznawał się do tego, w istocie jednak nie miał odwagi mówić z nią o córce.

Wiedział, że dziewczyna traci siły, gaśnie... Liczył trochę na to ostateczne osłabienie. W tym stanie parę razy widział świetne objawy jasnowidzenia... a bał się trochę, ażeby mu pod ręką nie zgasła...

Raz jeden jeszcze.. Potem pozwoli jej wypocząć, ale z oczu nie straci. Kto wie jeszcze, co z niej być może... to początek dopiero!

Onegdaj oznajmił Strusiowi, że Oborski wzywa go na wieś do żony. Pojedzie do nich na parę dni, może na dłużej... wypocznie, orzeźwi się nieco. Kto wie, może on swoją siłę wyczerpał: w ostatnich czasach pracował dużo — wcale się nie oszczędzał. Wyjazd na wieś wzmocni go i uspokoi.

Dziś powie matce, żeby nie przychodziła przez parę tygodni... ale dziś jeszcze spróbuje zamagnetyzować małą... Ostatnim razem była trochę rzeźwiejsza; we śnie przemówiła kilka razy w niezrozumiałym języku... Wyrazy te zanotował skrupulatnie.

Wiedział z doświadczenia, że chwilowe pogorszenie jest nieuniknione przy magnetyzmie; nie tracił nadziei, że z czasem ją wyleczy, — przedtem jednak próbował, czy nie uda się wyrobić z niej podatnego medjum...

Próby te wyczerpywały dziewczynkę... ale on nie umiał pokonać ciekawości.

Giuriati z przywarami, błędami i nieprawościami tego świata, pomimo to jednak umiał zachować wiarę w ludzi, umiał nie stracić nadziei zbyt może optymistycznej, że wystarczy tylko usunąć zadawnione bezprawia i wszelkiego gatunku ograniczenia swobody, ażeby ludzkość poprowadzić na wyższy szczebel cywilizacji, moralności i szczęścia. Wiedząc atoli, że zakorzenionemi, przez wieki uświęconemi instytucjami i wyobrażeniami prawnemi nie wstrząsną ściśle naukowe, małej tylko liczbie zawodowej przystępne rozprawy, nadał książce swojej charakter więcej artystyczny: ma ona dla głoszonych w niej zapatrywań zjednać jak najszersze koła opinji publicznej, ma zwłaszcza członkom ciał ustawodawczych, nie mającym wykształcenia prawniczego, nastręczyć bodźca i sposobności do głębszych nad piekącą sprawą zastanowień, ma ona wreszcie dostać się także w ręce kobiet. Posiada więc sporą dozę humoru i zabarwienie poetyczne, ujawniające się zwłaszcza w kreśleniu obrazów szczęśliwego pożycia rodzinnego, poza formą jednakowoż głęboka kryje się wiedza, a wysoki poziom etyczny, hołdowanie ideałom sprawiedliwości i humanitarności wyciska na niej piętno wielce sympatyczne.

Skrajnie zachowawcza zasada, że kobieta najzupełniej odpowiedziała powołaniu swemu, jeżeli po śmierci można jej było dać starorzymski napis grobowy „Siedziała w domu, przędła wełnę«, dla Giuriatiego wcale nie istnieje: w olbrzymich postępach, jakie w ostatnich lat dziesiątkach emancypacyjny ruch kobiecy poczynił w Europie, a zwłaszcza we Włoszech, widzi on niechybną rękojmię, że płeć niewieścia wywalczy sobie stanowisko, zajmowane już dzisiaj w Ameryce północnej, gdzie kobieta „zajmuje sią handlem, naucza, leczy, oddaje się adwokaturze, zarządza kolejami, stoi na czele dzienników, oddaje i zbiera głosy przy wyborach do najwyższych urzędów ba!.. nawet na prezydenta rzeczypospolitej«.

Zdaniem Giuriatiego nadejdzie niebawem czas, gdzie w dumie uzyskania dyplomu doktorskiego znajdzie kobieta wynagrodzenie za brak kontraktu ślubnego; — domaga się on też, ażeby, o ile nie sprzeciwia się temu dobry obyczaj i prawo przyrodzone, wolno było kobiecie uczyć się tego, do czego jest uzdolnioną, i wykonywać zawód, do którego potrzebne uzyskała przygotowanie. Zanim jednakże do samodzielności tej dojdzie, potrzeba, jak powiada nasz autor, wyswobodzenia jej z więzów tej przymusowej opieki, tej niewoli, której do dziś dnia jeszcze podlega zarówno pod względem społecznym, jak i ekonomicznym, w domu i w rodzinie, a zwłaszcza w pożyciu małżeńskiem. Niezbędnem więc jest gruntowne przeobrażenie prawa małżeńskiego w kierunku równouprawnienia obojga płci. Dzisiaj stoi kobieta na równi z mężczyzną tylko wobec ustawy karnej, ale i tutaj istnieje nieuzasadniona surowość względem kobiety, polegająca na tem, że uwięzienie daleko bardziej naraża zdrowie i życie słabszej z natury płci niewieściej, aniżeli rodzaju męskiego, a dodać należy i to, że kobieta rzadziej popada w konflikt z ustawą, aniżeli męczczyzna, na stu bowiem skazańców przypada we Włoszech zaledwie siedmiu rodzaju żeńskiego (we Francji i Belgji 18—20, w Anglji i Prusiech 22.)

Daleko gorszem jest położenie kobiety wobec ustawy cywilnej, uwzględniającej przedewszystkiem dobro mężczyzny. Wolno mu starać się o rękę uczciwej dziewczyny, wolno mu zdo-

---

Do dzisiejszego seansu przygotował się staranniej, niż zwykle: cały ranek spędził na świeżem powietrzu. Dzieweczkę powitał z żartobliwym uśmiechem, matce rękę uścisnął. Biedna kobieta stanęła jak w ogniu, nadzieja błysnęła w oczach; przez cały czas seansu serce jej biło, uśmiechała się, ocierała łzy ukradkiem; spodziewała się czegoś niezwykłego... oczekiwała słowa otuchy...

Dzieweczka usnęła odrazu. Wyciągnięta na szeslongu, z głową odrzuconą na poduszkę, oddychała tak cicho, że doktór pochylony nad nią, wpatrzony w białą twarzyczkę, chwilami prawie wcale oddechu nie słyszał.

Na biurku paliła się lampa, przysłonięta zielonym abażurem; pośrodku pokoju leżał pies: nastawił uszu, sierść najeżył i bacznie wpatrywał się w chorą. Od czasu do czasu warczał z cicha. Podnosił głowę, wodził oczami dokoła, jakby zdumiony i niezapokojony, stulał uszy, pysk przyciskał do posadzki, leżał jak martwy, spoglądając z ukosa w ciemny kąt pokoju.

Doktór stał przy szeslongu, dostrzegł lekki ruch warg uśpionej, schylił się, słuchał niepochwytnego szeptu. W głębokiej ciszy usłyszał leciuchny szelest. Natężył wzrok, stłumił oddech, rozejrzał się po pokoju. Pies podniósł się na przednie łapy, sierść nastroszył i wodził wzrokiem od drzwi do szeslonga. Warknął, zerwał się i stanął jak wryty, podwinąwszy ogon; przysunął się do pana, drżał przytulony do nogi, raz po raz na drzwi się oglądał.

Pot wystąpił na czoło doktora, w uszach dzwoniło. Skupiał uwagę, natężał wzrok i słuch, a pies drżał mu u nogi, wpatrzony w ciemny kąt ze szeslongiem.

Z biurka ćwiartka papieru zsunęła się na ziemię, jakby zdmuchnięta, pies warknął i jeszcze silniej do nogi się przycisnął. Chora jęknęła głucho.

Doktór badał puls, rękę do czoła przyłożył, a jednocześnie łowił uchem leciuchny szelest, powtarzający się w różnych punktach pokoju.

(C. d. n. *Ostoja.*

być jej serce, wtargnąć w najskrytsze tajemnice spokojnej rodziny, przygotowaniami do ślubu opublikować jej nazwisko, a pomimo to bezkarnie w ostatniej wycofać się chwili — bezkarnie, bo skompromitowana w ten sposób panna ma prawo wniesienia skargi tylko o odszkodowanie za poczynione wydatki. Czyż to sprawiedliwość? Czy zerwanie zaręczyn nie wywołuje daleko gorszych następstw dla dziewczyny, aniżeli dla mężczyzny? Ustawa brzmi dla obojga jednakowo, skutki jej różnią się atoli o całe niebo. W bezprzykładniejszej jeszcze nagości występuje nierówność w postanowieniach, regulujących stosunek pomiędzy małżonkami. Ustawa obowiązuje wprawdzie oboje do małżeńskiej wspólności życiowej, we wszystkich jednak sprawach, dotyczących wspólnego pożycia małżeńskiego, decyduje wyłącznie wola mężczyzny; on jeden oznacza miejsce pobytu, a »choćby wybór jego był jak najnieszczęśliwszy, choćby zachciało mu się za dalekie powędrować morza lub tam, gdzie żółta panuje febra, albo gdzie kwitnie wystepek, kobieta musi iść za nim bez szemrania; mężczyzna ma bowiem zawsze słuszność, zwłaszcza tam, gdzie popełnia niesłuszność«.

A jakkolwiek rzadko już znajdzie się dzisiaj trybunał, któryby gwałtem dostawił żonę mężowi, albo też przyznał mu według prawa rzymskiego przysługujące mu prawo umiarkowanego cielesnego skarcenia żony, to przecież najnowsze nawet ustawodawstwo przenika zasada, że żona podległą jest mężowi. Z chwilą zawarcia ślubu traci kobieta prawo rozporządzania wniesionym przez siebie posagiem, a jakkolwiek wolno jej zarządzać dobytkiem, który sobie w kontrakcie ślubnym zastrzegła, pozostanie to przecież nic nie znaczącym pozorem dopóty, dopóki bez zezwolenia swego męża i pana nie wolno jej nic sprzedać i praw swoich bronić przed sądem. A już wprost monstrualnem jest postanowienie włoskiego ustawodawstwa i cywilnego i karnego, które kobiecie dopiero wtedy przyznaje prawo wniesienia separacyjnej skargi przeciw mężowi z powodu cudzołostwa i domagania się kary dla niego, jeśli tenże notorycznie w konkubinacie w własnym żyje domu lub gdzieindziej śród szczególnie obciążających okoliczności, gdy tymczasem jemu wolno jest w każdym wypadku pozwać żonę swą za niewierność małżeńską przed sąd i żądać jej ukarania. (Dok. nast.).

Ernesto Rossi.

Zmarł tymi dniami jeden z największych aktorów świata, Ernesto Rossi, człowiek, który obok Adelajdy Ristori, Tomasza Salviniego i Eleonory Duse świetnie reprezentował sztukę włoską. Przyrodzone dary swej ojczyzny rozwinął on do pełni artyzmu. Na wspaniałym instrumencie rodzinnego języka swego grał, jak skończony wirtuoz. Brzmi on w ustach jego nie tylko swą pełnią zmysłową, swym muzykalnym dźwiękiem — nie, Ernesto Rossi umiał zdobyć się na poświęcenie harmonijnego brzmienia na korzyść treści. Nie był deklamatorem, był mowcą charakterystycznym. Samem słowem cuda działał. Tę zdolność mówien a wypróbowywał Rossi na najtrudniejszych zadaniach aktorskich, w rolach Szekspirowskich. Ostra, urywana mowa Makbeta nie mniej mu odpowiadała, jak starcza gadatliwość Lira; przedstawiając Otella, trafiał w prosty, szybki bieg namiętności z tą samą pewnością, z jaką niezmiernie zręcznie postępować umiał w ślad zygzaków djalektyki hamletowskiej. Że w dramatach nowożytnych to samo okazywał wirtuozostwo, tego chyba wyraźnie zaznaczać nie potrzeba. Dla wymowy swej posiadał Rossi w głosie swoim piękne i podatne narzędzie. Był to baryton, prawdziwy organ męzki, graniczący z źródłami siły i uczucia basu i tenoru.

Zasada sztuki aktorskiej polega na tem, aby sposób mówienia artysty odpowiadał treści i aby aktor był i dla oka tem, czem chce być dla ucha. I pod tym względem posiadał Rossi niezmiernie bogate zdolności. Pracował on całym mimicznym kapitałem swego narodu i zwracał go z lichwą. Pod względem wymowy ciała nie miał współzawodnika. Wszystko w nim mówiło. Gra jego rysów była mniej różnorodna, lecz w prostocie swej zawsze zrozumiała i wnikliwa; atoli głowa sama, jako samodzielna część ciała i reszta tego ciała była pełna wspaniałego, przekonywującego ruchu. Zdolność Rossiego w ruchu i gestach była zadziwiającą, widać było, że jest on synem swej ziemi, obdarzony wrodzonym geniuszem plastycznym i malarskim, z duszą w każdym calu. Kiedy pewnego razu skończył rolę, wybuchły pomiędzy publicznością nieskończone oklaski, a Rossi musiał wielokrotnie jawić się przed kurtyną. Znużony wreszcie ciągłem wychodzeniem, wyciągnął prawą rękę ku publiczności i pięknym a rozkazującym ruchem zmusił ją do spokoju. Ta prawa jego ręka, jakoteż jej siostra, lewica, pełne były dramatycznego wyrazu. Zarówno jako całość jak i wziąwszy pod uwagę tylko palce, przemawiały ręce te zrozumiałym, przekonywującym językiem. Jego dziesięć palców stanowiły alfabet, z którego składać umiał i pojedyńcze wyrazy i zdania całe. Niezmiernie wymownemi były też ruchy jego ramion. Już z punktu widzenia tej wymowy ciała byli jego Lir i Makbet podziwienia godnemi kreacjami Makbet, potykający się na progu komnaty króla — pomiędzy potknięciem się a powstaniem mrugnienie oka; Makbet, walczący z Makduffem na śmierć i życie, to plastycznemi środkami wykonane malowidło psychologiczne; Lir, w objęciach trzymający córkę swoją Kordelję, a potem głaszczący ją miłośnie po plecach, i znowu ten sam Lir, na widok Ed-

gara popadający w szaleństwo — te i tyle innych postaci, to były arcydzieła, na których zarówno malarz i rzeźbiarz, jak aktor uczyć się mogli.

I w postawie swojej posiadał Rossi szczęśliwe narzędzie swej sztuki. Wzrostu średniego, miał szerokie piersi, a jakkolwiek wcześnie zaczynał wygodniejszych nabierać kształtów, nie zbywało mu na energji i elastyczności.

Dziś genjalny aktor ten już w grobie, ale nazwisko jego żyć będzie w historji sztuki aktorskiej.

Przebudzenie się poczucia narodowego u Armeńczyków.

(Dokończenie).

Statystyczne dane co do krajów azjatyckich uchodziły do dawna nie bez podstawy za wielce problematyczne, szczególnie przy rozpatrywaniu kwestji politycznych. Ilością dusz igrano dowolnie, mnożąc je lub umniejszając, jak potrzeba było stronom spornym. Najjaskrawiej wystąpiła ta legenda statystyczna na terytorjach zdobytych w Azji środkowej przez Rosję. Tam, gdzie przedtem mówiono o miljonach, pokazało się zaledwo sto tysięcy lub coś podobnego.

Że pod panowaniem rosyjskiem, na Kaukazie i na terytorjach pogranicznych znajduje się miljon Armeńczyków, o tem nie wątpimy, ale żeby w Turcji było 1,330.000 Armeńczyków, a tylko 530,000 Turków, Kurdów, Jezydów i innych plemion w granicach Armenji, jak to podał komitet armeński w przedstawieniu do Anglji — to spotkać się musi z powątpiewaniem.

Przypuśćmy atoli, że podawana przez komitet rewolucyjny cyfra tureckich poddanych Armeńczyków wynosi istotnie 2,000.000, to niepodobna pominąć ugrupowania etnicznego. Najgęściej zasiedlone są przez ludność armeńską okręgi Erzerumu, Ercingianu, Muszu, Churputu, Wanu, Bitlisu, Bajazidu i Diaberkiru, a jednak zachodnia część tego terytorjum zaludniona jest równie silnie przez Turków, jak wschodnia przez Kurdów i Arabów. Od granicy perskiej aż ku Siwas i Malatji nie znajdzie się ani jedna okolica, w którejby przeważał czysty żywioł armeński. Znajdują się wprawdzie mniejsze lub większe osady z ludnością armeńską przeważnie, ale obok są równie liczne, gdzie osiedleni są tylko Turcy lub Kurdowie. Toż samo powtarza się w miastach. Jeżeli tedy patrjoci armeńscy wskazują na Bułgarję, jako na analogiczny stosunek, to popełniają tę omyłkę, że w Europie Turcy nigdy nie czuli się na swoim gruncie i łatwo przyszło do ich wysiedlenia — natomiast w Azji Mniejszej czują się w sąsiedztwie bezpośredniem swego gniazda i religji i posiadają większą siłę odporną.

Trudniejsze jeszcze zadanie przedstawiałoby wypędzenie Kurdów. To na poły koczownicze, ale aryjskie plemię, o którem wspomina już Ksenofon, zamieszkuje tamtejsze okolice równie tak dawno, jak sami Armeńczycy. Przed wiekami tylko w nizinach, obecnie zajmują Kurdowie i okolice górzyste, ich zaś sąsiedzkie stosunki z Armeńczykami byłoby o tyle trudniej zmienić, że znajdują się na północy, wschodzie i od południa w bezpośredniem zetknięciu ze swoimi plemiennikami lub współwyznawcami, z Kurdami, którzy z tytułu swego poddaństwa perskiego lub rosyjskiego, stworzyliby niemałe trudności polityczne.

Wobec powyższego, realnego stanu rzeczy, jakież wyjście i rozwiązanie? Czy jednolitą, niezawisłą Armenję, której pragnie jej lud, oprzeć na pokojowem porozumieniu i żyć zgodnie z Turkami, czyli też wydalić te obce żywioły gwałtem, co znaczyłoby innemi słowy zupełne ich wytępienie.

Co do pierwszej alternatywy: pożycia zgodnego, to żaden znawca stosunków azjatyckich nie uczyni tak iluzorycznego przypuszczenia, żeby niezmiernym jeszcze ogniem ziejącą namiętność nienawiści wyznaniowej i rasowej można tak łatwo stłumić w ludach azjatyckich. Szczególnie atoli Kurdów, ten lud na poły jeszcze koczowniczy a pod względem kulturalnym stojący na poziomie wieków średnich, niepodobnaby było skłonić do jakichkolwiek ustępstw lub przejednania. — Jak niepodobna pogodzić i zespolić ognia z wodą, tak też niepodobna pomyśleć znośnych i zgodnych stosunków pomiędzy spokojnymi, pracowitymi a dziś już zgoła nie tak wojowniczymi Armeńczykami a rozbójniczymi Kurdami. Zgoła już zaś byłoby porozumienie niemożliwe, gdyby Armeńczycy z tytułu swego wyznania chrześcijańskiego i wyższego stopnia cywilizacyjnego, zapragnęli prerogatyw i zechcieli objąć rolę zwierzchników i kierowników.

Pozostawałaby tedy alternatywa wytępienia plemion wyznania mahometańskiego, o czem ani mowy być nie może wobec wojowniczo zbójeckiego charakteru dwu miljonów Kurdów.

Skoro się tedy przypatrzymy chłodno i bezstronnie wyłaniającej się kwestji armeńskiej — to musimo przyjść do przekonania, że rozwiązanie sprawy może dojść do skutku jedynie przez naturalny i prawidłowy rozwój rzeczy. Za taki poczytujemy jak najspieszniejsze wtargnięcie w ten zakątek Azji zachodniej cywilizacji europejskiej, której pośrednikami są Armeńczycy sami. Środki rewolucyjne bez dostatecznych sił, mogą dać rezultat raczej opóźnienia, niż przyspieszenia sprawy.

Pojmujemy to dobrze, że patrjotom armeńskim nie może się podobać choćby najszczersza rada, w której jest mowa o cierpliwości i wyczekiwaniu. Mają także prawo i słuszność, kiedy

się odwołują na dawną swoją, świetną przeszłość, kiedy wspominają o wielkim Tiridatesie i Leonie wspaniałym i kiedy nie chcą nadal pozostawać w śnie letargicznym. Któżby im wziął za złe, że spojrzawszy teraz w przeszłość, porzucili dawne stanowisko bierności? Dobrze równie czynią ujmując się za rodaków nękanych przez Kurdów rozbójniczych.

Działalność ich w tym kierunku musi każdy wolny i wykształcony człowiek powitać gorącą sympatją, ale z drugiej strony każdy znający ich stosunki musi im doradzać, ażeby goręcej dom gali się zapowiedzianych reform, niż radykalnego przewrotu.

Na Portę składają wszystko politycy europejscy, jakoż w istocie Porta zaniedbała wiele i wiele winna, ale też we względzie zaniedbań w administracji ucierpieli nie tylko Armeńczycy, lecz i inne plemiona, rzec można wszystkie ludy wielkiego tego państwa azjatyckiego. Skoro się atoli powiedzie Turcji przeprowadzić rozpoczęte dzieło reformy, to z dążności reformatorskich odniosą Armeńczycy największe korzyści. Uwa żamy zaś to za nieodzowne z dwóch powodów: po pierwsze żywioł armeński przewyższa cywilizacyjnie o wiele muzułmanów, a powtóre, uzyskawszy większe znaczenie, tak się wzmocni co do sił ekonomicznych i moralnych, że potem w razie zbliżającej się katastrofy dorośnie wszelkim zadaniom.

Przypuszczenie to opieramy na faktach. Czem był żywioł armeński dla Porty przed laty 40, a czem jest w ostatnim dziesięcioleciu. Widzieliśmy już w tych czasach Armeńczyków chrześcijan na najwyższych stanowiskach u dworu. Widzieliśmy Agopa baszę jako ministra finansów, Artina jako sekretarza stanu w ministerjum spraw zagranicznych, tudzież wielu innych na stanowiskach wybitnych.

Z drugiej strony Armeńczycy, znający język turecki są naturalnymi pośrednikami pomiędzy światem idej i zdobyczy zachodnich, a światem wschodnim. Armeńczycy nauczyli Turków, czem jest muzyka europejska, czem literatura i nakoniec teatr europejski. Pod względem zaś handlu i przemysłu zdobyli Armeńczycy w Turcji stanowisko, z którego ich nic nie zepchnie.

Po tem wszystkiem zapytać się godzi, dlaczego Armeńczycy uciekają się do środków gwałtownych, gdy na drodze pokojowej zdobywają znaczenie? Wynarodowienia ze strony tureckiej nie obawiają się wcale, Turcja bowiem niema ani sił, ani talentu absorbowania narodowości obcych. Wiedzą o tem Armeńczycy, a w ostatnich czasach doświadczali, że organizm państwowy, który posiada właśnie ów żołądek chłonący i trawiący wszystko, znajduje się na północ od Araratu.

Rewolucyjne aspiracje nie wzrastały nigdy na gruncie narodowym armeńskim. Czyniono zabiegi, obudzano poczucie, ale nie oznaczano terminów. Sami Armeńczycy przyznają, że podżeganie przybywało zawsze z północy. Ostatni ruch był raczej protestem rozpaczliwego położenia, niż dziełem zorganizowanych jednostek. Umiarkowańsi i wykształceni patrjoci armeńscy z jednem uczuciem manifestują się dziś otwarcie, objawiają mianowicie niezmierny wstręt do wszelkiej interwencji rosyjskiej lub jakiegokolwiek wspólnictwa z caratem.

Ściśle zaś konserwatywne stronnictwo armeńskie oświadcza: »Potrafimy się sami porozumieć z Turkami. Żyjemy już od wielu wieków w sąsiedztwie i wiemy lepiej, niż wy tam w Europie, co nas boli, a co może przynieść ulgę«. — Oczywiście, że tego pokroju zachowawców nie bierze nigdy w rachubę stronnictwo ruchu.

Najwpływowszem, lubo na pozór bardzo lojalnem stronnictwem jest partja tych w istocie umiarkowanych patrjotów, która szuka oparcia i osłony u konserwatystów. Ludzie tego licznego stronnictwa unoszą się i zachwycają w ukryciu artykułami organów narodowych *Haiasdan* i *Arménie* a głośno mówią o sympatjach dla Turków. Głośno także oświadczają że Armenja musi odzyskać wolność, ale tylko przy pomocy samej Turcji, bo Rosję poczytują za śmiertelnego wroga i milsze im jarzmo tureckie, niż protekcja rosyjska. Pod tym względem są szczerzy, jak szczerze niejednokrotnie, ale w największej tajemnicy nie żałują obfitych ofiar z gotówki na komitety rewolucyjne.

Wiadomości bibljograficzne.

Flaum M. dr. med. Ludwik Pasteur, jego życie i działalność naukowa (Odbitka z Biblioteki warszawskiej). Warszawa, str. 68.

Frank. A. B. dr. Wykład fizjologii roślin, ze szczególnem uwzględnieniem roślin uprawnych, przez..... profesora szkoły wyższej rolniczej w Berlinie, przełożył W. M. Kozłowski (Biblioteka przyrodnicza Wszechświata). Warszawa, wyd. z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, 1896, w 8ce, str. VII, 262 i 1 nl., z 52 rysunkami w texcie.

Patrick G. T. W. Psychologja kobiety w świetle nowych faktów i teorji, przełożył z angielskiego J. Wł. Dawid. Warszawa, 1896, w 8ce, str. 32.

Pawłowicz Błażej. Kilka rysów z życia ludu w Zalasowej (Odbitka z Materjałów antropol.-archeol. i etnogr. Akademii umiej.. I 2). Kraków, 1896. w 8ce, str. 37.

Piekosiński Franciszek, Jeszcze słowo o ustawodawstwie wiślicko-piotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego (Odbitka z tomu XXXIII Rozpraw Wydziału histor. filoz. Akademji umiej.). Kraków, 1896 w 8ce większej, str. 83.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.